

W ubiegły wtorek odbyło się w studenckim klubie „Od Nowa” spotkanie, będące dalszym ciągiem naszej dyskusji „Ile centrów Poznania”. Na tym spotkaniu na które przybył również prof. Leykam z Warszawy, projektant poznańskiego „okrągłaka” dyskutanci mieli możliwość skonfrontowania swych wniosków z uwagami architektów. Głosy z tej dyskusji zamieszczamy na stronie trzeciej.

Na tropach dawnej kultury

Zakład Etnografii przy Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu od pewnego czasu ożywił swoją działalność. Przede wszystkim w kręgu jego szczególnych zainteresowań i prac badawczych znalazła się Wielkopolska. Dowodem uznania tej pracy była ostatnio przyznana wojewódzka nagroda zespołowi tego zakładu naukowego kierownikowi doc. dr. Józefowi Bursztynie, mgr. T. Wróblewskiemu i mgr. Z. Jasiewiczowi. W związku z tym zwróciliśmy się do kierownika Zakładu Etnografii doc. dr. Józefa Burszty z kilkoma pytaniami na ten temat.

— Doc. dr. Cz. Łuczak i doc. dr. Topolski są wybitnymi badaczami w zakresie historii gospodarczej. Wymienić tu także trzeba mgr. S. Chmielewskiego i mgr. W. Sobisiaka. Z młodszej generacji to mgr. Z. Jasiewicz, mgr. O. Podlewski, mgr. A. Wojciechowska, mgr. J. Dyduchowska, mgr. Michalikówna i inni. Każdy zajmuje się wydziałowymi zagadnieniami. Ostatnio zespół powiększył się o 6 osób — pracowników Zakładu Muzyki Ludowej Państw. Instytutu Sztuki.

— Badania chyba nie były łatwe, bo w tej chwili wieś jest pod silnym wpływem miasta. Czy wiele jeszcze znalazło się na naszej wsi relikwii kultury ludowej, a może dały się zauważyć nowe zjawiska czy nowe elementy tej kultury?

— Kultura wsi wielkopolskiej w przeciwieństwie do innych dzielnic uległa bardzo silnej niwelacji. W badaniach terenowych znajdujemy już

— Panie Profesorze, zespół zorganizowany przez Pana przeprowadza badania w naszym województwie nad stanem materialnej kultury wsi. Czytelnicy nasi na pewno są ciekawi, co skłoniło do tych badań, przecież Pan Profesor — jak to się mówi — rodem z Rzeszowskiego, a więc z drugiego krańca kraju.

Zagadnieniami kultury wsi zajmowałem się od początku moich studiów wyższych. Już jako student pracowałem w Państwowym Instytucie Kultury Wsi w Warszawie. Moja



Wyjeżdżamy w teren...

praca badawcza prawie że zamyka się też w historii wsi i jej kultury.

A sytuacja w Wielkopolsce była szczególna. Z jednej strony dał się zauważyć zanik tradycyjnej kultury, a z drugiej — brak systematycznych badań terenowych. Wprawdzie mgr. S. Błaszczuk, mgr. A. Glapa, mgr. T. Wróblewski, mgr. Tarko i mgr. Z. Wierczyńska przeprowadzali indywidualne badania, ale nie związane z sobą. Teren więc pod tym względem był wyjątkowo zaniedbany. Powstała zatem konieczność skupienia pracowników naukowych nie tylko z Uniwersytetu, ale i spoza niego, aby podjąć badania na szeroką skalę. Chodziło o to, aby opracować całościowy plan tych badań, systematycznie go realizować i w kilku latach zbadać całość zagadnień kultury ludowej Wielkopolski. Czas nagle. Na szczęście udało się takich pracowników skupić przy Katedrze.

— Zespół, który przeprowadzał badania — jak mi wiadomo — był bardzo liczny.

— Do zespołu wchodził zarówno etnografowie, jak historycy zwiastu gospodarczy. Są wśród nich wytrawni pracownicy nauki, jest też generacja młodsza. Do tych pierwszych między innymi należą: mgr. S. Błaszczuk — zastępcy badacz, specjalista w dziedzinie plastyki ludowej, dalej — mgr. Adam Glapa — specjalista od strojów ludowych, mgr. Tadeusz Wróblewski — specjalista w zagadnieniach budownictwa ludo-



SHEILA POSZŁA DO ALDERMASTON

Londyn, w kwietniu

MOJA CÓRKA, Sheila, ma piętnaście lat. Uwielbia muzykę jazzową, marzy o poślubieniu słynnego pieśniarza Franka Sinatry i godzinami przegląda się w lustrze. Słowem, nie różni się wcale od milionów piętnastolatek na całym świecie.

Przed kilku tygodniami Sheila oświadczyła mi nagle: „Mamusi, muszę coś zrobić w sprawie bomby wodorowej”. Nic na to nie odrzekłam, czekałam co będzie dalej. Wkrótce Sheila poszła na Fleet Street, „dziennikarską” ulicę Londynu, do wydziału młodzieżowego Narodowego Komitetu Walki o Rozbrojenie Atomowe. Znalazła tam stosy listów, których z braku czasu nikt nie otwierał i nie czytał. Zaproponowała więc swoją pomoc. Codziennie otwierała i czytała tysiące listów. Autorami ich byli przeważnie młodzi ludzie w wieku od 13 do 18 lat, pochodzący z różnych warstw społecznych — klasy robotniczej, chłopstwa, arystrytacji, sfer przemysłowych. Wszyscy chcieli wziąć udział w wielkanocnym pochodzie protestacyjnym do ośrodka badań atomowych w Aldermaston.

Gdy piszę te słowa, Sheila wróciła już z Aldermaston. Zmoknięta, brudna, potargana, wygląda jak strach na wróble. Ale mówi bez przerwy, wydaje się, że nigdy nie będzie końca jej opowiadaniom. A oto jej relacja:

W Wielki Piątek rano przybyło do Aldermaston 4 tysiące ludzi ze wszystkich zakątków Anglii, a także z innych krajów, m. in. z Cypru, z Niemiec, z Pakistanu, z Grecji, Australii, Francji i Afryki Południowej. Byli wśród nich kwakrzy, metodyści i katolicy, lekarze, architekci, nauczyciele i profesorowie. Byli oficjalni przedstawiciele Partii Pracy i związków zawodowych, robotnicy drukarni, stoczni, zakładów metalurgicznych i elektrotechnicznych. Matki pchały przed sobą wózki z niemowlętami, starsze dzieci wędrowały „na barana” na plecach ojców. Można też było zobaczyć w pochodzie starszki i ciężarne kobiety. Niektórzy ludzie nieśli na rękach swoje ulubione koty lub prowadzili na smyczy psy z odznaką „Rozbrojenia Atomowego” na obrozach. Zwierzęta przecież też chcą żyć.

Najwięcej jednak było młodzieży. Ona nadawała ton całej manifestacji. Na niesionych przez nią transparentach widniały napisy: „Zabronić produkcji bomby atomowej!”, „Młodzież chce żyć!”. Młodzieżowe stowarzyszenia religijne podnosiły wysoko w górę transparenty z napisami.

Trzeba było pół godziny, aby przejść naokoło olbrzymiego kompleksu zakładów w Aldermaston, otoczonych drutami kolczastymi i strzeżonych przez potężne owczarki alaskie. A tysiące manifestantów przemarszowało w zupełnym milczeniu, tylko werble wystukiwały alfabetem Morse’a hasło walki o rozbrojenie atomowe.

Ponieważ uczestników pochodu było znacznie więcej niż przewidziano, wielu spośród nich po przybyciu na miejsce nie miało gdzie nocować. Młodzi ludzie pomieścili się więc w szkołach i kościołach, kładąc się pokotem na twardej, betonowej podłodze.

Następnego dnia pochód wyruszył dalej.

Gdy pochód przybył do Londynu, lał taki deszcz, że nawet płaszcze gumowe nie zabezpieczyły manifestantów przed przemoknięciem do „suchej nitki”. Dzieci trzeba było umieścić w okrytych brezentem ciężarówkach. Ale gdy pochód dotarł do Trafalgar Square, jakby „na zamówienie” zaświeciło słońce.

Jak imponująco wyglądało to morze ludzi na wielkim placu Trafalgar Square! Kierowcy zatrzymywali autobusy, wychylali się z okien i podnosili w górę rozstawione palce, jak to czyniono podczas wojny, na znak, że zwycięstwo już jest bliskie. Zakochane pary przystawały na drodze pochodu, pozdrawiając serdecznie uczestników. Ze swej wysokiej kolumny admirał Nelson spoglądał w zadumie na tych prostych bojowników, którzy równie walecznie walczą o pokój dla domostw angielskich, jak on niegdyś bił się o sławę Anglii na morzach. Turyści amerykańscy i żujący gumę żołnierze zza Oceanu patrzyli w milczeniu...

Diana PURCELL

Lucja Danielewska

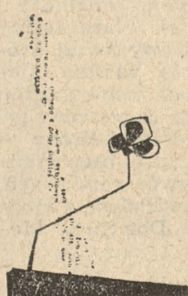
DO CZASU...

Nieprawda: smutek jest tylko do czasu

Przychodzi ochodzi jak słońce deszcz ludzie i gwiazdy

Smutek jest do czasu gdy zrozumiemy że i tak zawsze jesteśmy samotni

w wielkiej pustelni świata wypełnionej ludźmi po brzegi



Kazimierz Wachnowicz

CISZA I CZÓŁNO

Nie pokazuj mi deszczu zielonej wikliny, gdy cicho wyrasta w doniczkę wieczoru —

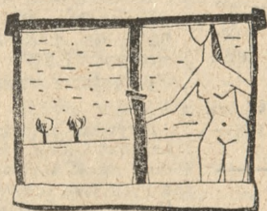
Nie pokazuj mi wiatru przez wiosenne szyby, gdy prószysz się z latarni pękających strąków —

Nie pokazuj mi stróża z miękkimi wąsami, gdy chodzą z kluczami i bramy zamyka —

I ścian mi nie pokazuj z kolorami okien, ani we włosach nocy siedzących świetlików.

Tylko pokaż mi ciszę jak studnię głęboką, w którą dziewczęta sypią paciorki oczu

i czółno swoich ramion wiozące do nikąd, abym mógł przy tobie zostać i odpocząć.



W WIOSENNYM SŁONCU

Na zdjęciu Malgosia Piekarska, która wystąpi w filmie „Awantura o Basię”.

SŁOWACKI

na scenie czeskiej

W związku z przypadającą w bieżącym roku 150 rocznicą urodzin i 110 rocznicą śmierci Juliusza Słowackiego warto przypomnieć jedną z mniej znanych, a dla stosunków kulturalnych polsko - czeskich ważną kartę recepcji teatralnej poety w Czechach. Słowackiego poznają Czesi początkowo wyłącznie jako lirika i epika. Pierwsze wartościowe przekłady utworów

dramatycznych poety przypadają na ostatnie dziesięciolecie XIX wieku i są zasługą wybitnego tłumacza Otokara Mokrego, który przyswoił literaturze czeskiej „Balladynę” „Lillę Wenedę”, a później również „Mazepę”. Nowe przekłady „Balladyny” i „Lilli Wenedy” dał Czechom w ostatnich latach znany poeta i znakomity tłumacz Franciszek Halas.

Pierwszą próbę pokazania na scenie dramatu Słowackiego podjęto jednak znacznie wcześniej. Było nią wystawienie „Mazepy” na deskach tzw. „teatru tymczasowego” w Pradze. Stolica Czech nie posiadała bowiem jeszcze wtedy swego „Teatru Narodowego”, otwartego w roku 1881 i po pożarze odbudowanego wysiłkiem społecznym w dwa lata później. 14 czerwca 1879 roku, dzień debiutu Słowackiego - dramaturga w teatrze praskim — to ważna data nie tylko dla scenicznej recepcji poety w Czechach, lecz również pierwszorzędnej wagi wydarzenia w dziejach naszej — na ogół dość ubogiej — wymiany teatralnej z Czechami.

„Mazepę” wystawiono w nienajlepszym przekładzie Fr. L. Horvorki, przedstawienie reżyserował Józef Kolar, który zagrał w nim

również rolę Wojewody, jedną z najtrudniejszych w dramacie. W wystawieniu sztuki aktywnie współpracowali członkowie Czytelni Akademickiej, a czynili to tym chętniej, że dochód z przedstawienia przeznaczono na budowę domu akademickiego. Ma więc i Słowacki w murach praskiego Domu Akademickiego swoją trwałą cegiełkę. Sam spektakl nie przyniósł jednak spodziewanego sukcesu.

Dwa następne przedstawienia „Mazepy” w końcu tegoż roku miały charakter okolicznościowy: pierwszym z nich uczczono obchodzoną uroczystość w Czechach, podobnie jak i u nas, pięćdziesiątą rocznicę działalności literackiej J. I. Kraszewskiego, drugie było związane z pierwszymi w Pradze gościnnymi występami polskiej aktorki Marii Deryng. Po

przedniczkę Heleny Modrzejewskiej. Ważna to również data w historii polsko - czeskich kontaktów teatralnych. Warto tu jeszcze dodać, że i Modrzejewska, „królowa sceny polskiej”, występowała w Pradze w roku 1891.

Następną praską premierą Słowackiego po długiej, bo 31 lat trwającej przerwie, była inscenizacja przetłumaczonej przez Franciszka Kvapila tragedii „Beatryx Cenci”.

Wystawiona w „Narodnim divadle” w reżyserii Jaroslava Kva pila w kwietniu 1910 roku jako hołd Akademii Umiejętności i Teatru Narodowego w Pradze, złożony polskiemu poecie w związku z obchodzącymi w poprzednim roku uroczystościami stulecia jego urodzin, podobnie jak wcześniej wystawiony „Mazepa” nie doczekała się uznania. Była w tym duża wina ówczesnej czeskiej krytyki teatralnej, przemilczającej dodatnie strony dzieła, a wyolbrzymiającej jego rzekome niewolnicze, niedo-
łężne naśladownictwo Szekspira.

O ile inscenizacja „Beatryx Cenci” nie przyniosła polskiemu poecie oczekiwanego sukcesu, o tyle wystawienie na scenie praskiej następnej jego sztuki, tym razem „Balladyny”, zakończyło się zdecydowanym niepowodzeniem, na szczęście nie Słowackiego, lecz reżysera Hilara i jego koncepcji inscenizacyjnej. Koncepcja ta, zupełnie chybiona i niewiele mająca wspólnego z intencją autora, zmierzała do maksymalnego wydobywania i ukazania bliżej nieokreślonych elementów „słowiańskości” dramatu.

Reakcja krytyki była tym razem druzgocąca. Jeden z recenzentów posunął się tak daleko, że przedstawienie „Balladyny” nazwał Sedanem Hilara. Bo też wystawiona przez niego w kwietniu 1923 roku na scenie Teatru Narodowego tragedia Słowackiego była jednym wielkim nieporozumieniem, zakrawała wprost na parodię i niewiele brakowało, by premiera zakończyła się skandalem, za co część winy ponosili również niektórzy aktorzy spektaklu, zachowujący się na scenie w sposób jak najbardziej niewłaściwy. Była to niewątpliwie klęska reżysera, że jednak wyszedł na niej również autor dramatu, Słowacki, który jakoś dotąd nie miał szczęścia na czeskiej scenie.

W okresie powojennym pro wincjonalny teatr ostrawski wystawił — i to z powodzeniem — „Balladynę” w nowym przekładzie Franciszka Halasa; przedstawienie to jednak nie miało tej rangi poważnego wydarzenia kulturalnego, jaką sztukom granym w Czechach nadaje reprezentacyj na scena stołecznego Teatru Narodowego.

Dobrze by więc było, aby w czasie tegorocznych obchodów jubileuszowych właśnie teatr praski zaprezentował czeskim widzom naszego poe-
tę w całym pięknie i wielkości jego geniuszu dramatycznego. Miejmy nadzieję, że tym razem rzetelny trud reżysera i wykonawców zostanie uwieczniony pełnym sukcesem.

Mgr Jan DUTKOWSKI



Akademia filmowa w Hollywood przyznała do-
roczne nagrody „Oscara”, udzielane od 31 lat za
wybitne osiągnięcia w dziedzinie sztuki filmowej.
Na zdjęciu: Dawid Hiven (nagroda za rolę w filmie
„Odseparowany od stołu i łoża”) i Dorothy
Hiller w jednej ze scen filmu, za który otrzymali
nagrodę. Fot. — CAF

»Zezowate szczęście« Nowy film Munka

Każdy nowy film Andrzeja Munka, jednego z najzdolniejszych realizatorów filmowych młodego pokolenia, budzi duże zainteresowanie w najszerszych kręgach widzów kinowych. Pamiętamy jeszcze żywe dyskusje, jakie wywołała „Eroica”, przy czym nawet ci, którzy mieli zastrzeżenia co do sposobu, w jaki twórca ukazał powstanie warszawskie, uznawali w pełni walory artystyczne filmu.

Andrzej Munk po powrocie z Argentyny, z festiwalu w Mar del Plata, rozpoczął przygotowania do realizacji nowego filmu. A oto bliższe szczegóły:

— Scenariusz filmu, który nosi będzie tytuł „Zezowate szczęście” — mówi Andrzej Munk — opracowany został według mojego pomysłu przez Jerzego Stawińskiego. Stawiński napisał na ten temat obszerniejsze opowiadanie, właściwie zaś powieść pt. „Sześć wcieleń Jana Piszczyka”, która ukaże się w najbliższym czasie nakładem „Iskier”. Bohaterem filmu będzie człowiek, który opowiada na ekranie koleje swego życia od lat trzydziestych począwszy, kończąc na chwili obecnej. Bohater ten — to poczciwiec, trochę koniunkturalista, pragnący zrobić karierę — ale cóż — brak mu szczęścia.

— Kto obejmie tę rolę?
— Będzie ją grał Bogumił Kobiela, którego pamiętamy z roli Drewnowskiego w filmie „Popiół i diament” Wajdy. Zdjęcia plenerowe rozpoczyna się już za kilka dni. Operatorem Jerzy Lipman i Krzysztof Winiewicz będą je nakręcać w Warszawie. Muzykę opracuje Jan Krenz. Zakończenie prac nad filmem nastąpi, jak przypuszczam, we wrześniu tego roku.

Każdy, kto najsłabiej nawet orientuje się w gospodarczych czy politycznych problemach Włoch — powie o nich jedno bez zająknięcia: że to kraj słońca, wina i piosenki. Piosenka włoska od dawna podbiła świat. Śpiewana jest we wszystkich krajach, przez śpiewaków wszelkiej narodowości. Jej odrębny swisty koloryt znajduje wszędzie wielbicieli i czyni ją nie zastąpioną w radiowych i estradowych programach na całym świecie.

A w samej ojczyźnie? Przecież do Włoch dotarł również jazz, muzyka nowoczesna, o charakterze — rzecz można — kosmopolitycznym. Cóż się stało z tą prawdziwą piosenką? Czy przetrwała?

Aby odpowiedzieć na to — należy przypomnieć sobie, że uzdolnienia i zainteresowania muzyczne nie stanowią w tym kraju przywileju jakiejś wybranej grupy — lecz rozpowszechnione są szeroko w całym narodzie. W tych warunkach własne, narodowe motywy muzyczne posiadają zbyt mocne korzenie, aby dać się wypłenić. Ich wpływ na nowoczesną muzykę włoską jest wciąż żywy i poważny. Znany jest np. fakt stworzenia odrębnego w stylu włoskiego jazzu.

Zjawisko jednak ma i stronę odwrotną. Zmienił się również styl i forma samej piosenki włoskiej. W ostatnich latach zaobserwowano pewne obniżenie jej poziomu, banalność i okliwłość treści. Stare formy przeżyły się. Nowy rodzaj, który narodził się właśnie niedawno nosi na sobie piętno nowoczesnego, „napływowego” rytmu, ale z drugiej strony — nawiązuje bardziej bezpośrednio do motywów ludowych. Jego przedstawicielem, a może i ojcem jest Domenico Modugno.

Króla piosenki wybiera coroczny Festiwal w San Remo. Już w roku ubiegłym zwycięzcą jego został Modugno, wykonując piosenkę własnej kompozycji „Volare nel blu”. W ostatnich dniach, na najnowszym Festiwalu zwyciężył ponownie piosenką „Piove” (Pada deszcz).

Modugno pochodzi z małego miasteczka w Południowych Włoszech, lecz reklama, z woli impresariów, zrobiła z niego Sycylijszka. Modugno, jak zapewnia, żywi jednak gorący sentyment dla rzekomej „ojczyzny” i jest tam bardzo popularny. W dużej mierze zapewne dlatego, że układa wiele tekstów do swych piosenek właśnie w sycylijskim narzeczu i wplata w nie regionalne motywy, tam właśnie zaobserwowane.

Modugno zaczął komponować mając lat 16, lecz blisko drugie tyle trwała jego droga do sławy. Był przez ten czas kelnerem, robotnikiem, grajką w lokalach. Marzył o karierze filmowej i mając lat 20 wystąpił w epizodycznej roli w filmie „Strażacy z Viggiù”, który uznał za pamiętny sukces, gdyż film dotarł do jego

*) nb. polskie „tłumaczenie” tej piosenki jest dość typowym przykładem nieudolności (red.)

Radzieckie organy elektroniczne to trójoktawowy instrument muzyczny o właściwościach fortepianu, organów i akordeonu. Instrument ten posiada 86 lamp elektronowych, z czego 40 to lampy generatorowe. Waga instrumentu — ok. 80 kg.

Fot. — CAF

Nowy władca królestwa piosenki

rodzinnego miasteczka, budząc zrozumiałą sensację. Następnie rozpoczął studia w szkole filmowej, co stało się dla niego wstępem do prawdziwej kariery na tej drodze. W tej samej szkole zresztą poznał swą obecną żonę i partnerkę, Frankę Gandolfi.

Komponował w tym czasie raczej dla własnej przyjemności — ale piosenki zyskiwały niespodziewanie uznanie reżyserów, weszły do filmów. I tak Modugno osiągnął sukces równie i na tej drodze, gdzie przybrał on daleko większe rozmiary.

Będąc jeszcze studentem rozpoczął również współpracę z radiem i telewizją. W pierwszych swoich audycjach pełnił rolę autora, kompozytora, reżysera, wykonawcy, a nawet... ilustratora dźwiękowego.

Modugno jest niezrównanym śpiewakiem estradowym, jedy-
nym podobno w tym rodzaju Włochem. Znakomita jest jego mimika i interpretacja, do występu charakteryzuje się i charakterystycznie, akompaniuje sobie sam na gitarze, albo też wprowadza na scenę rekwizyty, poczynając od parasola do „Piove”, a kończąc na... żywym osiołku przy „Pijanym osiołku”, piosence opartej na bajce ludowej. Tematy do swych piosenek znajduje Modugno wszędzie. Dostarcza mu ich zarówno legenda i krajo-
braz Sycylii, jak młoda, nieznaną parę, żegnającą się w deszczowy dzień na obcym, amerykańskim dworcu. Może dlatego tak wielką jest jego popularność?

Modugno nie porzucił jednak filmu. Ostatnio wystąpił w głównej roli w filmie „Volare nel blu”, którego główną atrakcją była oczywiście słynna piosenka. Grał tam zresztą częściowo siebie: młodego sycylijskiego chłopca, który przy-
był do Rzymu szukając szczęścia i — pracy. A znalazł, oczywiście, miłość.

Obecnie czynione są już przygotowania do filmu, w którym główne role odegra Modugno i jego nowa piosenka o deszczu.

Może więc i my będziemy mieli niedługo okazję nie tylko usłyszeć ale i zobaczyć nowego króla piosenki? A może i nie tylko na ekranie? Ale tutaj, na zakończenie, jeszcze jedna ciekawostka: autor słynnego „Lotu w błękicie” panicznie boi się latać samolotem!

H. JABCZYŃSKA



0 dziejach ojczystych

Z bardzo piękną inicjatywą wystąpiła ostatnio Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, przystępując do wydawania serii dla młodzieży „Powieści o Dziejach Ojczy-
stych”, które mają objąć czasy od przedhistorycznych do XIX wieku. Tym samym LSW chce uczcić Tysiąclecie naszego Państwa.

Pierwsze książki są estetyczne, ozdobione rysunkami według epok, oprawne w pióro, a przy tym tanie (20 zł egz.). Pierwsza — „Wizimir — Zeglarz” t. I. — Michała Synoradzkiego pod względem stylu i formy nie wziędł wprawdzie do najlepszych. Autor (dziennikarz warszawski, zmarł w r. 1922) zbyt „pouszytywniał” swoich bohaterów. Ale to można wybaczyć ze względu na klimat baśni, od której (bohaterem syn Lecha) zaczyna się legendarne wprowadzenie dzieje naszej państwowości.

O wiele ciekawsze są „Król Krak i Królowa Wanda” i „Mysz króla Popiela” — Walerego Przybrowskiego. W tych powieściach jest znacznie żywsza akcja. Autor zna dobrze młodocianego czytelnika, wie, jak przemawiać do jego wyobraźni. A przemawia pięknym, a przy tym prostym językiem.

„Powieści o Dziejach Ojczy-
stych” zapowiadają się dobrze. Znajdą one na pewno wdziecznego czytelnika szczególnie w bibliotekach szkolnych i publicznych, znajdują się w serii książek upominkowych i młodzieżowych bibliotek domo-
wych. (jp)

Wiersze najmłodszych

Jesteśmy jak najdalsi lansowania teorii o tzw. cudownych dzieciach. Uważamy bowiem, że uleganie jej może łatwo wypaczyć rozwój każdego talentu. Wiersze te drukujemy dlatego, że cieszymy się, iż zainteresowanie poezją i uczulenie na nią można spotkać w... każdym wieku.

Autorką pierwszego wiersza jest uczennica poznańskiego liceum, Teresa Zaremba. Drugi wiersz napisała pierwszoklasistka, też z Poznania. W wierszu tym zachowujemy oryginalność ortografii.

CZARNY

Czarny kot
Czarny pies
Czarną drogą
W czarną noc
W czarny świat
Na czarnych łapkach
Zielone oczy psa
Żółte oczy kota
Rzucają złoty blask
Na czarną plamę błota.

TWUJ ODDECH

(Mamusia chora na astmę)

Oddech twój
nie łączy
mnie stobą
twój oddech
rozdziela nas
twój oddech
oddala
mnie od
ciebie



Bynajmniej nie koniec dyskusji

Red. Józef MODRZEJEWSKI

Czy można śródmieście umieścić na obszarze dawnego śródmieścia? Tak, pod warunkiem, jeżeli ograniczy się na tym terenie budownictwo mieszkaniowe, jeżeli dokona się nieodwracalnej korekty w zakresie urbanistyki, która by pomogła w rozwinieciu budownictwa luźnego, a więc wysokich budynków handlowych, pawilonów usługowych i ośrodków kulturalnych, a równocześnie pozwoliłoby rozszerzyć szerokość ulic dla wzmożonego ruchu kołowego.

Jestem przekonany, że należy opracować kompleksowe plany zagospodarowania przestrzennego obszaru pomiędzy ul. 27 Grudnia, pl. Wolności, al. Marcinkowskiego, ul. Armii Czerwonej i Lampego. Na obszarze tym znajduje się w tej chwili kilka dużych, niezabudowanych parcel, które już mogłyby być przedmiotem wysokościowej zabudowy handlowej. Poza tym należy uwzględnić w planach perspektywicznych stopniowe usuwanie budynków starych, zamortyzowanych i nie odpowiadających warunkom bytu człowieka. Ten nowy ośrodek śródmiejski, którego realizacja potrwałaby jakieś 20-30 lat, na pewno doskonale spełniłby swoje zadania jako ośrodek centralny.

Kierownik Miejskiej

Pracowni Urbanistycznej

inż. PASZEK

Te wolne obszary, które użytkujemy na skutek zniszczeń wojennych, rażą wszystkich; w tej sytuacji zaistniało wówczas tylko jedno wyjście: zapychanie śródmieścia budynkami mieszkaniowymi, których gwałtowna potrzeba zaraz po wojnie wystąpiła. To był podstawowy błąd, ten brak myśli urbanistycznej. Ale jeżeli dzisiaj występuje tendencja do zaplombowywania tych miejsc domami mieszkaniowymi, jest to „zarzynaniem” ostatniej szansy miasta. Należy bronić tej ostatniej szansy. Ani jednego domu mieszkalnego w śródmieściu — Takie powinno być nasze wspólne zadanie.

Mnie się wydaje, że słuszniej jest dyskutować nad już skończo-

Przedłużeniem dyskusji, jaka toczyła się na naszych łamach wokół przyszłego kształtu śródmieścia Poznania, było wtorkowe spotkanie w studenckim klubie „Od Nowa”. Podajemy w skrócie głosy z tej dyskusji, zaznaczając, że do samej sprawy zapewne niejedną jeszcze raz będziemy wracać. Najbliższą okazją będzie wystawa projektów, o której również mówiono w dyskusji.

nymi projektami, aniżeli w ogóle bez projektów, bo wtedy trudno o czymś mówić. W tej chwili przygotowywana jest wystawa takich projektów przez głównego architekta, która niewątpliwie dałaby lepsze podstawy do dyskusji.

Jestem za sugestiami, które przedstawił nam redaktor odnosnie zabudowy luźnej, nie blokowej. Jednym słowem, nie zabudowy XIX-wiecznej. Jeżeli jednak mamy faktycznie zabudowę XIX-wieczną, to siłą rzeczy ona nas wiąże. Gdybyśmy chcieli realizować śródmieście w sposób zupełnie współczesny, trzeba by po prostu puścić przez miasto gigantyczny spychacz, aby zrobić miejsce dla tego rodzaju pomysłów.

Stworzenie w pełni nowoczesnej dzielnicy z nowoczesnym centrum dzielnicowym będzie możliwe na terenach, na których będziemy budowali miasto od nowa, a więc na Ratajach czy Winogradach.

Prof. inż. LEYKAM

Lepiej jest dyskutować przed konkursem, niż po nim, lepiej jest wyciągnąć wszystkie elementy poprzez dyskusję, niż dyskutować nad gotowymi projektami i potem je kształtować inaczej.

Druga sprawa, która ciągle jest niedoceniana: nie można projektować miasta na rok 1965. Anglicy projektowali w 1945 roku na rok 2000 i mnie się wydaje, że jest to minimum, bo miasto powinno się zakładać na jakiś znacznie dłuższy okres czasu.

Jeżeli Poznań liczy dziś 400 tys. osób trzeba opracować plany docelowe i koncepcyjne na jakieś 800 tysięcy mieszkańców.

Śródmieście nie powinno być w żadnym wypadku większe niż na 1/5, czy 1/6 mieszkańców, przyjmując maksymalne zagęszczenie w godzinach szczytowych na tym terenie w ilości 6 tys. ludzi na hektar. Tylko wtedy stworzy się wielki, nowoczesny ośrodek z tego

śródmieścia, da się mu właściwą rangę. Mamy ponad 20 ha ziemi, to nie jest taka ogromna przestrzeń. Mnie się wydaje, że w Poznaniu istnieją inne wspaniałe tereny, które będą terenami rozwojowymi. Są to tereny w stronę Cytadeli. Obecnie istniejące dwie wielkie wyrwy w ziemi, spowodowane przez tory kolejowe, to przecięcie miasta tymi wyrwami musi być kiedyś przekreślone. Jest to kwestia ogromnych inwestycji, ale jeżeli planujemy na dziesięć lat, trzeba w końcu i tę sprawę jasno postawić.

Przewodniczący Tow.

Miłośników Poznania,

inż. KACZMAREK

Wypowiadam się w dalszym ciągu za decentralizacją. Fakt, że wielu ludzi musi codziennie jeździć z poszczególnych dzielnic po zakupy do śródmieścia, jest nieco kompromitujący. Za mało mamy na to teraz czasu. Toteż przede wszystkim winno się myśleć o utworzeniu właściwie funkcjonujących centrów poszczególnych dzielnic, w sensie handlowo-administracyjnym, gdyż braki te dają się wszystkim dotkliwie we znaki. Jestem zdania, że tutaj tkwi główny problem obecnej dyskusji.

Inż. SKRZYDLEWSKI

W wypowiedzi prezesa Towarzystwa Miłośników Poznania zaszło jakieś nieporozumienie, polegające na pomyleniu dwóch pojęć. Czym innym jest realizacja, a czym innym projektowanie. Jeżeli mówiono o tym, aby miasto projektować aż do 2000 roku, to była tutaj mowa o pewnym wysiłku myślowym, który by przewidywał dalszy rozwój Poznania na taki okres i jakichś planach uporządkowania tego rozwoju. Nie znaczy to, że musimy te plany zrealizować w najbliższych latach.

Oczywiście, że czasem wysiłek myślowy idzie na marne. Nie pamiętam już roku, w którym rozpatrywano w Poznaniu konkurs na zabudowę śródmieścia. Uczestniczyli w nim 3 lub 4 zespoły, dali ze siebie dużo wysiłku i zgromadzili masę materiałów, a dziś nie ma nawet tych planów i w ogóle zaprzeczono cały ich dorobek.

New Jersey) skrupulatnie zbadał to interesujące zjawisko.

Okazało się, iż tajemnicza kula uderzyła w kiosk reklamowy, stojący u zbiegu wspomnianych ulic, wyrzucając w nim okragły otwór o średnicy jednej stopy. To samo stwierdziła wezwana straż pożarna.

Barbieri odszukał świadków, którzy widzieli jak płomiennista czerwona kula, przebiwszy kiosk, wzbliła się naprzód na wysokość 20 stóp, gdzie tkwiła przez krótki czas nieruchomo, po czym wleciała około 300 stóp nad ziemię. Fachowa ekspertyza wykazała, że żalazna ściana kiosku oblepiona plakatami reklamowymi miała gęsto rozsiadane drobne wgłębienia. W każdym z nich tkwił metal żółtej barwy, wtłoczony jakąś potworną siłą. Badania spektroskopowe wykazały, że obcym metalem była w jednym miejscach miedź (chemicznie czysta), w innych — zawierająca drobną domieszkę tlenu miedzi.

✱

Nocą 2 listopada 1951 r. na niebie Arizony pojawiła się przepiękna zielona kula ognista rozciągająca krajobraz niesamowicie, baśniowym światłem. Była znacznie większa od tarczy Księżyca. Leciała szybko na równą wysokość, po czym beżgłośnie wybuchła w osłepiającym rozbrłosku.

Podobne zielone kule pojawiały się w olbrzymich ilościach w Stanie New Mexico, a ponieważ zbiegiło się to z próbnymi eksplozjami bomb atomowych dokonywanymi na tych terenach początkowo sądzono, iż pomiędzy oboma tymi zjawiskami zachodzi ścisły związek. Później jednak rozprzestrzeniły się na Pensylwa-

Stefan SŁONIŃSKI

Ludzie nie chcą mieszkać w małych miastach i z różnych względów grupują się w dużych miastach. To, co się mówi na temat ograniczenia rozwoju miast ze względu na liczebność, wydaje się ze względów ogólnospołecznych niezupełnie słuszne.

Chodzi o zainteresowanie i współuczestniczenie w tych sprawach ludzi, którzy patrzą na to, jako socjologowie, lekarze, punkt widzenia demografii i socjologia musi również rzutować na projekty urbanistów i architektów, bo dopiero współdecydowanie o tych kwestiach wszystkich ludzi, którzy interesują się miastem i mają w tej dziedzinie coś do powiedzenia, może zapewnić właściwe warunki rozwoju śródmieścia Poznania.

Andrzej BAJSKI

Uważam za rzecz oczywistą, że poszczególne dzielnice muszą być uporządkowane, posiadać swoje ośrodki administracyjne i wszelkie możliwe usługi handlowe. Ale czy to oznacza, że w Poznaniu nie ma być w ogóle jakiegos centrum w sensie „city”? Przecież bez takiego centrum miasto nie może się rozwijać.

Nie wyobrażam sobie na przykład, aby w Poznaniu istniała oddzielna opera na Ratajach, czy w innych dzielnicach. Musi istnieć pewne zgrupowanie ośrodków kulturalnych w centrum. Przyjeżdżają do nas mieszkańcy ze Środy, Gniezna, Jarocina i innych miast, mają np. załatwić sprawę w Wojewódzkim Sądzie i chcą przy tej okazji zwiedzić Muzeum Narodowe, lub inne obiekty. Czy oni będą jeździć do takich ośrodków, jeżeli oni znają i chcą się być na przedmieściach?

Jeżeli czasem porozmawiamy się z kierowcami można się przekonać, ile kłopotów sprawia jazda wąskimi ulicami miasta. Przecież sami widzimy, że w okresie Targów wystają korki, i najbardziej sprawni milicjanci nie potrafią tych spraw rozwiązać. Musimy więc mieć w centrum szerokie ulice.

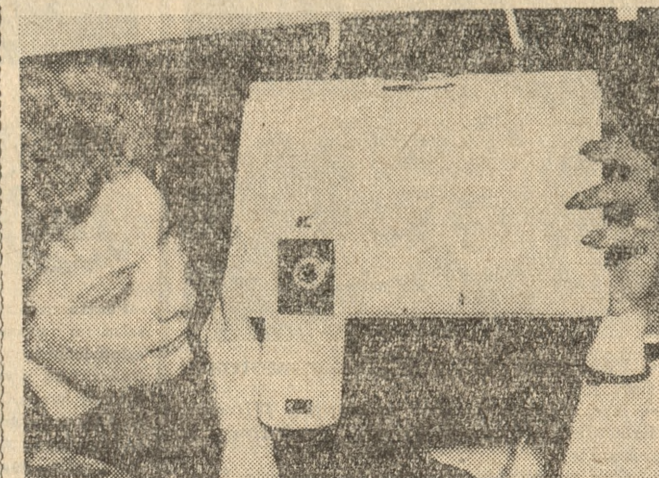
Prof. inż. LEYKAM

Przy projektowaniu miasta trzeba wrócić do jednej zasadniczej sprawy — wartości ziemi. Niezależnie od tego kto jest właścicielem, ta ziemia ma różną wartość, w zależności od urządzeń, lokalizacji. Tam wysoka zabudowa jest ekonomiczna, gdzie stosunek kosztów budowy do kosztów ziemi nakazuje pójść w górę. Niewątpliwie budowa od pewnej wysokości jest droższa, bo więcej kosztuje konstrukcja, instalacje i konieczność instalowania wind pospiesznych, ale szybkość też następuje amortyzacja. Właściwa kalkulacja wartości ziemi w centrum miasta może podyktować władzom Poznania wysokość zabudowy.

Niewątpliwie słusznie powiedziano, że centrum jest jedno, ale to jedno nie jest jedynym centrum. Różne są bowiem funkcje centrum. W tej chwili jednym centrum Poznania



Japoński przemysł fotooptyczny stanowi coraz większą konkurencję dla dotychczasowych specjalistów w tej dziedzinie — Niemców. Oto na przykład foto-pistolet. Za naciśnięciem spustu kamera umieszczona na miejscu lufy wykonuje zdjęcie i przekręca film.



Inną ciekawostką z tej dziedziny jest torebka damska z wmontowanym 16 mm aparatem fotograficznym. Torebkę tę zaprezentowano na wystawie wyrobów skórzanym w Londynie.

Co na to? zakochani?

Francuskie pismo „Nature” doniosło o ciekawym eksperymencie: normalnemu, zdrowemu psu wyjęto serce i zastąpiono je wykonanym z plastiku. Ważyło ono około 300 gramów, a więc tyle, ile waży przeciętne serce dorosłego psa, wykonywało taką samą ilość skurczów i pompowało taką samą ilość krwi, co normalne serce, a w zależności od wysiłku organizmu serce pracowało szybciej lub wolniej.

W ciągu 70 lat życia człowieka serce kurczy się i rozkurcza przeciętnie około 3 miliardów razy, przepompowując około 200 milionów litrów krwi. Tyle wynosi zapotrzebowanie wody dla warszawskiego przemysłu i ludności w ciągu trzech dni.

Niestety, ta najdoskonalsza z pomp ssąco-tłoczących psuje się aż nadto często: w roku 1957 w miastach polskich co piąty człowiek umierał przedwcześnie na skutek schorzeń serca. A więc lekarze i inżynierowie nie dla zabawy zajmują się konstruowaniem sztucznych serc.

Ideę sztucznego serca wysunął w roku 1924 znany radziecki chirurg S. Bruchonienko. Zbudował on urządzenie, z pomocą którego udało się utrzymać przy życiu głowę psa odciętą od tułowia. Aparatura ta, budząca wielkie nadzieje, ale i niezdrową sensację, została wkrótce udoskonalona: przez jej pomocy utrzymywano teraz nie samą głowę przy życiu (co było łatwiejsze) ale cały organizm psa.

Aparatura Bruchonienki, która powstała w moskiewskim Instytucie Naukowo-Badawczym zajmującym się opracowywaniem doświadczalnych instrumentów i aparatów chirurgicznych, została udoskonalona przez jego następców.

Oba urządzenia pozwalają nie tylko na przeprowadzenie operacji mięśnia sercowego, ale również na przeprowadzenie skomplikowanych zabiegów wewnątrz kół sercowych, przy czym mogą zabezpieczać — przy ostrej niedoczynności serca — prawidłowy krwiotok przez dłuższy nawet czas.

„Mechaniczne serca” znajdują także zastosowanie przy ożywianiu organizmu w wypadku nagłej śmierci, co — jak wiadomo — jest możliwe w wypadku śmierci klinicznej.

Coraz mniejsze wymiary mają aparaty zastępujące naturalne serce i płuca: urządzenie skonstruowane przez Francuzów daje pewność, że już niedługo powstanie sztuczne serce, które będzie można zaszyć w klatce piersiowej i które będzie wykonywało wszystkie normalne funkcje „prawdziwego” serca. Oczywiście, z wyjątkiem jednej — miłości — niepokojów.

A. TREPKA

Jerzy HALICKI

Na tropach dawnej kultury

(Dokończenie ze str. 1)

muje zagadnienie bardzo obszerne i wymaga specjalnego omówienia. Kultura wsi jest ciągle dynamiczna i stwarza ciągle nowe wartości; widzimy to na przykład w rzeźbiarstwie Leona Dudka we Włoszakowicach.

— Czy zdaniem Pana Profesora da się uratować coś z tych resztek kultury wiejskiej, charakterystycznej dla naszego regionu?

— Kultura ma swoje prawa rozwojowe, na które wiele nie możemy wpływać. Niemniej szereg elementów kultury ludowej można przenieść do kultury narodowej po odpowiednim ich przystosowaniu. Duże tu znaczenie takich instytucji jak teatr ludowy, zespoły pieśni i tańca, domy kultury, a także wydawnictwa. Dzisiejsze procesy życiowe, jak masowa emigracja do okręgów przemysłowych prowadzą do tego, że przecieka tam coraz więcej elementów kultury ludowej, stając się przez to wartościami ogólnonarodowymi.

— I jeszcze, Panie Profesorze, kilka słów o przygotowanej zbiorowej pracy „Kultura ludowa Wielkopolski”. Na tę książkę czeka bardzo wielu miłośników naszego regionu.

— Przygotowaliśmy zespolowo I tom tej pracy. Liczy on około 800 stron i ponad 500 ilustracji wziętych bezpośrednio z terenu. Obejmuje tylko część zagadnień kultury materialnej. Tom dalszy o kulturze materialnej w opracowaniu. W pierwszej książce czytelnicy znajdą historyczno-etnograficzne ujęcia takich zagadnień, jak na przykład osadnictwo wiejskie i kształt

wsí, budownictwo ludowe, wnętrza mieszkań, rolnictwo, rybołówstwo, młynarstwo, szereg działów przemysłu i rzemiosła ludowego oraz rozdział o ubiorach.

— A to już chyba ostatnie pytanie, Panie Profesorze: jakie są dalsze plany pracy zespołu?

— Oprócz opracowania dalszych tomów „Kultury ludowej Wielkopolski”, rozpoczęliśmy pracę nad kolejnymi zeszytami „Atlasu kultury ludowej Wielkopolski”. Ponieważ te kartogramy będą opracowane dla różnych przekrojów chronologicznych, stanowiąc one będą wraz z wspomnianymi tomi — zasadniczą podstawę do wyjaśnienia dziejów i dróg przemian kultury ludowej Wielkopolski.

Rozmawiał:

J. PIEPRZYK



Docent dr Burszta w pogawędce z mieszkańcem Gołdźmi (pow. Szubin). Dziadek Kowalski jest najstarszym mieszkańcem tej wioski i z pewnością pamięta stare zwyczaje. Fot. — K. Przychodźki

Tajemnica kolorowych kul

Dokończenie ze str. czwartej

meteorologów, nie są pioruna mi kulistymi — z przyczyn po przednio wymienionych.

Przytaczająca większość świadków pojawienia się tych wielkich kul ognistych, gdy poproszono ich o wskazanie odcienia w zielonej części widma, który najlepiej pokrywa się z barwą zauważonego zjawiska — wskazała pasmo o długości fali świetlnej 5200 angstromów, odpowiadające rozbarwieniu miedzi.

Zawartość miedzi w meteoroidach prawie nigdy nie przekracza ułamka procentu; Meteoroidy, które można by nazwać „miedzianymi”, nigdy nie znaleziono. Tym bacniejszą uwagę uczonych zwrócił fakt, że analiza chemicznego składu powietrza na terenie stanu New Mexico i Arizony — a więc w strefie najczęstszego występowania zielonych kul ognistych — wykazała stosunkowo znaczną zawartość drobin miedzi. Wydaje się, że musi istnieć jakiś

związek pomiędzy tymi dwoma zjawiskami, gdyż przed 1948 rokiem (kiedy jeszcze nie sygnalizowano występowania zielonych kul ognistych) próbkę powietrza na tych terenach nie ujawniła obecności miedzi.

Kierownik Instytutu Naukowego w San Diego (stan Kalifornia USA) prof. dr Meade Layne, opublikował zaskakującą hipotezę: Zdaniem tego uczonego, latające kule ogniste, które promieniują jaskrawo zielonym blaskiem, stanowią obiekty zdalnie kierowane przez załogi statków kosmicznych. Celem ich ma być częściowa likwidacja wzrostu promieniotwórczości powietrza na skutek próbnych wybuchów, bomb atomowych. Prof. Meade Layne twierdzi, że zielone kule ogniste pojawiają się prawie bezpośrednio po eksplozjach jądrowych i przez jakiś czas operują w danej okolicy.

Mimo woli nasuwa się przy puszczeniu, że jeżeli tak jest istotnie, to zagadkowe zielone kule mogą po prostu stanowić dotąd niezbadany element w rejestrze zjawisk fizycznych towarzyszących wybuchom bomb atomowych.

Prof. Meade Layne jest odmiennego zdania, forsując tezę, że te obiekty są wyrazem zycielwej po mocy pilotów „latających talarzy”. Twierdzi on ponadto, że w wypadkach niezaobserwowania zielonych kul ognistych na poligonach atomowych, wzrost promieniotwórczości powietrza jest bez porównania większy.

Zaznaczam, że powyższa hipoteza nie znalazła dotychczas potwierdzenia i dlatego można ją traktować — przynajmniej na razie — tylko jako ciekawą próbę wytłumaczenia tajemniczego zjawiska.

PÓŁ GODZINKI z LIDKĄ

KIEDY SZEDŁEM na to spotkanie redakcyjni koledzy radzili żartobliwie: „Tylko uważaj na serce, nigdy nic nie wiadomo!”.

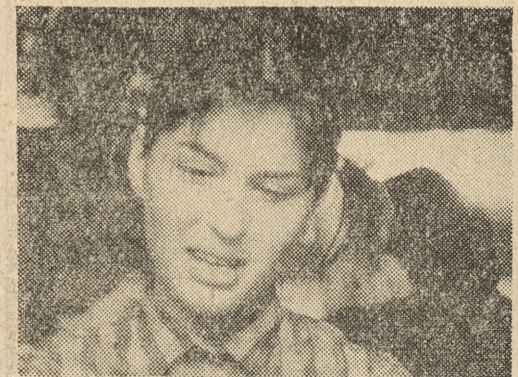
Słowa te nie były pozbawione słuszności. Nieznajomą, z którą miałem się spotkać, była uroczą brunetką — Maria Wachowiak, znana miłośnikom filmu jako odtwórczyni roli Lidki w filmie „Pożegnania”.

Gwoli ścisłości muszę jednak wyjaśnić, że spotkanie to miało charakter jak najbardziej... służbowy i odbywało się w licznej asyście członków Studenckiego Dyskusyjnego Klubu Filmowego, który właśnie zaprosił młodą aktorkę do Poznania.

Pani Maria Wachowiak jest niezwykle miłą rozmówczynią, chętnie udziela informacji o sobie i swojej pracy w filmie, ma lat...

— ... Przepraszam, pani Maju za niedyskretne pytanie...

— Proszę bardzo, mam 20 lat i nie mam jeszcze... męża.



— Pani poza pracą w filmie występuje w teatrze?

— Nie. Jestem jeszcze studentką III roku Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie.

— Czy po skończeniu szkoły, pragnie Pani poświęcić się pracy w filmie?

— Owszem. Ale oprócz pracy w filmie, chcę występować w teatrze.

— W jakim repertuarze?

— Najchętniej w romantycznym.



— Czy rola Lidki w „Pożegnaniach” była Pani debiutem filmowym?

— Tak. Przedtem nie występowałam w filmie.

— Jakie są Pani najmilsze wspomnienia z pracy przy kręceniu pierwszego filmu?

— Najmilej wspominam chwilę, kiedy przyszła do mnie delegacja realizatorów „Pożegnań” i zaproponowała mi zagranie roli Lidki.



— Czy wierzy Pani w miłość?

— Bardzo.

— Pani hobby?

— Książki, taniec. Z muzyki uwielbiam jazz.

— Jaki jest zdaniem Pani najlepszy polski film?

— „Eroica” Munka. Z zagranicznych najbardziej lubię „Komediantów” i „Wakacje pana Hulot”.

— Ulubieni autorzy?

— Dygat, Proust, Saint Exupery, Faulkner.

Rozmawiał: Mirosław IDZIOREK

Zdjęcia: Jacek PAWLAK



— Nasi mężowie znów opowiadają sobie nieprzyzwoite kawały!...



Poczta szwajcarska wydaje co roku w grudniu specjalną serię młodzieżową „Pro Juventute”. Znaczki te wyróżniają się spośród innych wspaniałą techniką drukarską. Znajdujemy na nich stroje ludowe oraz faunę i florę Szwajcarii. W każdej serii znajduje się zazwyczaj również znaczek z portretem wybitnego Szwajcara.

Znaczki, które dzisiaj reprodukuje, pochodzą z serii wydanej 1 grudnia ubiegłego roku. W skład tego wydania wchodzi 5 wartości. Znaczek za 5+5c przedstawia portret Albrechta Hallera — lekarza, przyrodnika i poety, znaczek za 10+10c wyobraża kwiat — bratek, za 20+10c — aster, za 30+10c — powój i wreszcie za 40+10c — kwiat dzikiej róży.

Cała seria wykonana została w pięknych kolorach na papierze kredowym.

mgr. L. K.



W londyńskim ZOO małe niedźwiadki — korzystając z wiosennej pogody — z wdziękiem pozują licznie zgromadzonym fotoreporterom.

Rozwiązanie krzyżówki

Za nadesłaniem poprawnych rozwiązań krzyżówki z ub. numeru „Nowego Świata” nagrody książkowe otrzymają drogą losowania:

Z Poznania: M. Müller, ul. Dąbrowskiego 124, Z. Gładyszak, ul. Chłapowskiego 4/14, B. Janicka, Palacza 10/6, Z. Malendowicz ul. Przemysłowa i B. Jeran, Nehringa 3/1 oraz St. Rembikowski z Kobyłina, A. Rajewicz z Wrześni i M. Szczepankiewicz ze Strzałkowa. Nagrody wyślemy pocztą.

Niestety z braku miejsca nie możemy podać rozwiązań.

fantazja CZY RZECZYWISTOŚĆ?

TAJEMNICA KOLOROWYCH KUL

Jeden z najbardziej sensacyjnych „pojedynków” samolotu, który tym razem zakończył się szczęśliwie dla pilota, wydarzył się dnia 18 listopada 1948 r.

Lecąc nad Andrews Field w pobliżu Washingtonu, pilot Combs napotkał olbrzymią kulę ognistą, która zagroziła mu drogę. Po dziesięciu minutach walki wróżący najgorsze, Combs wpadł na zaskakujący pomysł: skierował na tajemniczego przeciwnika strumień światła potężnych reflektorów swego samolotu. Rezultat był natychmiastowy: kula ognista najpierw gwałtownie odskoczyła, po czym z olbrzymią prędkością zniknęła z pola widzenia.

Pierwsza kula ognista tego typu pojawiła się zimą 1946

r. nad Skandynawią przy bezchmurnym niebie, wyjątkowej przejrzystości powietrza i trzaskającym mrozie.

Ale czy na pewno pierwsza? Cofnijmy się o dwadzieścia stuleci. Rzymski historyk Julius Obsequens zanotował ukazanie się kuli ognia której opis w niczym nie przypomina ani pioruna kulistego ani meteora.

Działo się to w roku 90 przed n. e. nad miastem Spoletem.

Kroniki spisane w różnych czasach i różnych krajach zawierają opisy zbliżone do powyższego.

17 grudnia 1824 r. nad miejscowością Neuhaus w Czechach przecięła olbrzymia kula ognista; w oczach świadków opadała z niej żywa substancja niewątpliwie organicznego pochodzenia. Podobny spadek miał miejsce w 1898 r. w wiedeńskim Praterze. Obydwa zjawiska uznane są przez astronomów za absolutnie autentyczne.

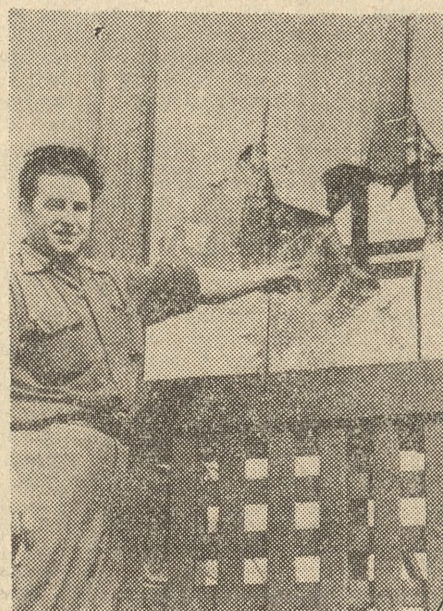
Powróćmy jednak do naszych czasów.

19 sierpnia 1953 r. kilka minut przed godziną 21 kula ognia ku przerażeniu obecnych na szosie prowadzącej do miasta New Haven (stan Connecticut, USA) przecięła tę arterię na wysokości kilkunastu metrów, strzelając snopem iskier przypominających choinkowe „zimne ognie”; jakiś czas leciała brzegiem, kosząc czubki drzew nieco wystających nad ogólny poziom lasu rosnącego po prawej stronie. Potem wbiła się w przestworza i raptownie znikła.

W kwadrans potem w New Haven wydarzyła się rzecz nie zwykła. Jak opisywał nazi jutrz miejscowy „New Haven Journal-Courier” oraz wiele innych pism amerykańskich — w całym mieście usłyszano od głoś jak gdyby gromu. W okolicach Niddletown Avenue i Front Street aż ziemia się za trzęsiała, oślepiająca jasność ogarzała wszystko, a lampy uliczne przysiały.

Józef Barbieri z West Haven (stan Connecticut) i August C. Roberts z Jersey City (stan

(Dokończenie na str. 3)

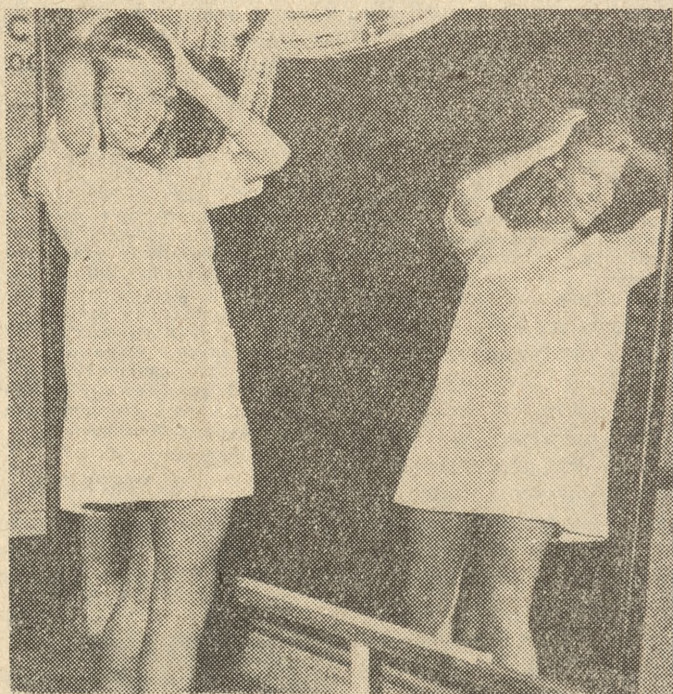


J. Barbieri wskazuje na dziurę w betonowym kiosku reklamowym w New Haven (USA), wybitą przez czerwoną kulę ognistą w dniu 19 sierpnia 1953 r.

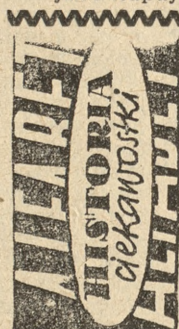
Fot. — CAF

FILM

Anglosaski film kryminalny — podobnie jak i powieść — ma swe bogate tradycje i swych klasyków, takich jak Conan Doyle czy Edgar Wallace. Ostatnio wśród autorów ogromnie popularnych „kryminałów” zdecydowany prym wiodą kobiety — ze słynną już dziś Agatą Christie na czele. Scenariusz do „Krokwę w mgłę” wyszedł również spod pióra należącego do plci pięknej — i to aż dwu jej reprezentantek. Autorki wyposażyły swego bohatera równie bogato w urodę i wytworność — jak i w bezwzględność i wyrachowanie. Gentlemana-mordercę gra Steward Granger, kobietę, dla której zabił żonę — jedną z najciekawszych aktorek brytyjskich: Belinda Lee (na zdjęciu).



— To trwa już dwadzieścia lat, koniec, jutro kupujesz radio!



MOKRONOS pod Koźminem — podobno nazwa od moczarów. Tamtejsi starzy ludzie twierdzili mi, że ta wieś jest granicą deszczów. A może od kmiecia, który miał chroniczny katar? W r. 1318 siedział tu Dirscariusz według zapisu łacińskiego, po polsku Dzierżykraj, w r. 1390 — Sędziwój, który władał zrazem Jarocinem.

MOGIŁKA — w powiecie krotoszyńskim. Zanim stała się Mogiłą była Mogielnicą (w r. 1683—5), Mogielką (1772—1916).

MODRZEWIE w powiecie wągrowieckim — od modrzewia. W r. 1569 Jakub Modrzewski poddanego Błażeja swojej matce Katarzynie Rogalińskiej przekazał „z całym prawem zwierzchności i własnością oraz wszystkimi użytami i owocami”.

MOKRONOSY są też pod Damasławkiem. Chciałbym zwrócić uwagę na podobieństwo nazw na Pałukach (Wągrowiec-Znin) i w południowej Wielkopolsce. Niektórzy historycy twierdzą, że zostały one przeniesione wraz z chłopami przy zamianach włości.

MOKRZ w puszczy Międzychodkiej zjawiał się przed r. 1777. Wtenczas pisał się Mokrzec. Od mocz (gwar. mokrz), czy mokradła? (jp)



Bombą sezonu nie schodzącą z afisza aż przez...dziesięć lat, była swego czasu na Broadway'u „Czar na Carmen”, w przeróbce amerykańskiego kompozytora Oscara Hammersteina. Była to wersja zmodernizowana, dopasowana do potrzeb estrady i obsadzona w komplecie czarnymi aktorami. W 1955 roku Otto Preminger przeniósł tę „Czar na Carmen” na ekran. Adaptacja Premingera odznacza się oryginalnością koncepcji: Carmen pracuje w zakładzie produkującym spadochrony. Don Jose zmienił się w Joe'a — żołnierza a torreador Escamillo jest po prostu czempionem bokserkim ciężkiej wagi... Grają: Dorothy Dandridge i król „Callypso” — Harry Belafonte.